

8 października 1804 - koronacja Jean-Jacquesa Dessalines na cesarza Haiti

8 października 1804 - Jean-Jacques Dessalines został koronowany na cesarza Haiti (jako Jakub I), a jako że jest to bardzo ciekawa historia, przeczytajcie!

Dessalines pochodził z niskich warstw społeczeństwa ówczesnej francuskiej kolonii Saint-Domingue, znajdującej się w zachodniej części wyspy Hispaniola. Został żołnierzem w kolonialnej armii francuskiej, później jednak wyrósł na jednego z przywódców antykolonialnego powstania, które doprowadziło do niepodległości Haiti. Po schwytaniu w 1802 Toussainta L'Ouverture, jednego z dowódców powstania niewolników, Dessalines został faktycznym głównodowodzącym wojsk powstańczych, mając już rangę generała.

Według niektórych informacji wielu Polaków, wysłanych przez Napoleona Bonaparte na Hispaniolę w celu tłumienia powstania, sympatyzowało z powstańcami, widząc w ich walce analogię do swojej sytuacji. Oblicza się, iż ok. 150 Polaków przyłączyło się do wojsk Dessalinesa i walczyło po ich stronie przeciwko Francuzom.

18 października 1803 r. Dessalines dowodził armią, która zwyciężyła w bitwie pod Vertières nad francuską armią kolonialną dowodzoną przez generała de Rochambeau. Niedługo po zwycięstwie, 1 stycznia 1804 r. w Gonaïves Dessalines proklamował niepodległość Haiti, zrywając z Francją, dotychczasową potęgą kolonialną. Haiti stało się wówczas drugim po Stanach Zjednoczonych niepodległym państwem na zachodniej półkuli.

W nowym państwie Dessalines obwołany został dożywotnim gubernatorem generalnym, a 22 września 1804 jako Jakub I ogłosił się cesarzem Haiti. Rządzone przez niego państwo miało ogromne kłopoty wewnętrzne, wynikłe przede wszystkim z trudnej sytuacji gospodarczej. Dotychczasowe plantacje, na których pracowali niewolnicy, zostały uwłaszczone, co w dalszej perspektywie wywołało międzynarodowy skandal i silne naciski mocarstw kolonialnych, by spłacić wywłaszczonych właścicieli ziemskich.

W kraju tymczasem narastało niezadowolenie z okrutnych rządów Dessalinesa. W wymierzonym przeciwko niemu spisku udział wzięli m.in. Henri Christophe oraz Alexandre Pétion. Jakub I został zamordowany przez swoich żołnierzy 17 października 1806 w miejscowości Pont-Rouge (Czerwony Most), niedaleko Port-au-Prince. Dziś miejsce to, znajdujące się na peryferiach haitańskiej stolicy, upamiętnia pomnik Dessalinesa.

Zabójstwo Dessalinesa doprowadziło do napięć między kreolską i afrykańską ludnością Haiti a w konsekwencji do podziału państwa na dwie części, północną i południową.

Nazwisko Dessalinesa pozostało w tradycyjnym tytule haitańskiego hymnu, *La Dessalinienne*.

Tyle Wikipedia, ja zaś napisałam na temat Haiti więcej po tragicznym trzęsieniu ziemi 12 stycznia 2010 roku, jest

tu i niezwykła historia Jean-Jacquesa Dessalines:

Haiti, smutek Karaibów

Ledwie świat fantastycznymi fajerwerkami powitał rok 2010, a już 12. dzień nowego roku przyniósł katastrofę naturalną, która dopisze się do listy najtragiczniejszych w historii: Port-au-Prince. Pod dwumilionową stolicą Haiti zatrzęsała się ziemia i obróciła miasto w gruzy. W 45 sekund i tak już wystarczająco trudne życie Haitańczyków zamieniło się piekło. O ile w ogóle zachowali życie. Tysiące ludzi nie miało tyle szczęścia, zginęli na miejscu, lub, co gorsza, umierali pod gruzami przez wiele godzin, a może nawet dni nie doczekawszy się ratunku.

Przez te kilka dni słyszeliśmy we wszystkich wiadomościach po wielokroć, że Haiti to najbiedniejszy kraj zachodniej półkuli i jeden z najbiedniejszych na świecie. Jak podają statystyki 80% ludzi żyje, żyło tam „w skrajnej biedzie”. Co to oznacza? I jak to jest możliwe, że w miejscu, które dla Euroamerykanów uchodzi za synonim raj na ziemi, na słonecznych pastelowych Karaibach, uchował się „taki kraj, wszystko, tylko nie raj”? Nawet Kuba jest miejscem szczęśliwości w porównaniu z Haiti, choć, jak wiadomo, mlekiem i miodem nie płynie.

Ale na Kubę da się pojechać, na Haiti strach było, jak będzie teraz? Po trzęsieniu ziemi i opanowaniu sytuacji? Czyli jeszcze długo nie teraz, a kiedyś, później...? Dwaj byli prezydenci USA Bill Clinton i George W. Bush w otwartym liście do narodu i w imieniu narodu oraz aktualnego prezydenta zadeklarowali, że teraz już będą lepszym sąsiadem i pomogą Haitańczykom nie tylko dorywczo, ale na dłuższą metę odbudować lepszy kraj. Uszczuplony o 100 czy 200 tysięcy mieszkańców, którym nie dane było przeżyć katastrofy, ale dla pozostałych przy życiu — lepszy.

Na razie jednak nie ma mowy o odbudowie, na razie jest czas tuż po trzęsieniu, czyli ten najgorszy. Chaos, zwątpienie, rozbój, brak wszystkiego, wody, leków, żywności, elektryczności, informacji, trudności z dotarciem z pomocą, jednym słowem katastrofa humanitarna gorsza jeszcze niż po tsunami na Oceanie Indyjskim, bo w biedniejszym kraju. To, co widzimy w telewizji, to tylko obrazki, nie męczymy się w tamtym lepkiem upale, nie wdychamy tamtego ciężkiego od pyłu powietrza, nie wachamy fetoru rozkładających się ciał, nie czujemy swądu palonych trupów, nie opłakujemy bliskich.

Gdy tsunami z 26 grudnia 2004 roku, porównywalnie apokaliptyczna katastrofa, uderzyło w wybrzeża krajów położonych wokół Oceanu Indyjskiego, trafiło również w miejsca turystyczne pełne Europejczyków, Amerykanów, Australijczyków. Wtedy to bogatsza część świata pograżyła się w żałobie razem z gospodarzami. Teraz jest inaczej. Teraz łączymy się w żałobie, ale — poza wyjątkami — to ich żałoba, nie nasza. Tak jak była to ich bieda, z której nie umieliśmy ich wyciągnąć. Jak to jest możliwe, że w środku bogacącego się świata zostać mogło takie miejsce, o którym mówi się „zapomniane przez Boga i ludzi”?

Ponieważ sama nazwa „Haiti” sprawia pewien kłopot, wyjaśnijmy na początek tę kwestię. Otóż państwo Haiti zajmuje zachodnią część wyspy nazwanej przez jej odkrywcę, Krzysztofa Kolumba, Hispaniolą, „Małą Hiszpanią”. Drugą, wschodnią część, zajmuje państwo Dominikana. Stolicą Haiti jest Port-au-Prince, Dominikany — Santo

Domingo. Ale kiedyś nazywano też całą wyspę Santo Domingo (lub San Domingo), a przez jakiś czas tylko jej zachodnią część (czyli obecne Haiti) Francuzi nazywali Saint-Domingue. Dziś część świata nazywa całą wyspę Hispaniolą, ale Polacy zaniechali tej nazwy i od początków XIX wieku na całą wyspę mówią Haiti.

Skomplikowane? Jak cała dotychczasowa historia wyspy. Od pierwszej chwili, gdy w 1492 roku Krzysztof Kolumb postawił na niej nogę, wbił hiszpańską flagę i ogłosił ją kolonią hiszpańską, po dziś dzień, gdy wyspę od dawna dzielą między siebie dwa niepodległe państwa, jest to historia bolesna i skomplikowana. Wyspa wielkości 76,5 tysięcy kilometrów kwadratowych (prawie 2 razy Szwajcaria) była oczywiście zamieszkała przez jej pierwotnych mieszkańców, Indian Karibów i Arawaków (którzy też się między sobą bili o wpływy), ale dla europejskich odkrywców nie stanowiło to żadnej przeszkody. Zaanektowali wyspę (jak wszystkie inne, do których dopływali) i uczynili ją swoim pierwszym przyczółkiem w Nowym Świecie. Jednak już próby uczynienia z Indian niewolników nie powiodły się, Indianie po prostu nie nadawali się do niewolniczej pracy.

Po wybicciu „dzikich” niemal do nogi (i to nie tak od razu, najpierw stosowano wobec nich najwymiślniejsze tortury, których samo wyliczenie przyprawiłoby czytelników o mdłości), zdobywcy z „cywilizowanego świata” postanowili przerzucić z Afryki siłę roboczą, Murzynów. Ci lepiej pracowali i byli bardziej potulni. I tak Karaiby stały się miejscem handlu niewolnikami na kilka stuleci. Trójkąt Afryka — Ameryka — Europa przyniósł Arabom (którzy zajmowali się dostarczaniem niewolników), Europejczykom (ci odpowiadali za przerzut „towaru” z Afryki do Nowego Świata) oraz „nowym nacjom”, Franko-, Anglo- oraz Latynoamerykanom (którzy „zatrudniali” niewolników) kolosalne dochody będące początkiem niejednej wielkiej fortuny, której potomkowie do dziś dnia mają się świetnie i żyją dostatnio.

Do roku 1667 na Haiti panowali niepodzielnie Hiszpanie, ale potem przyszedł czas prosperity coraz bardziej zuchwałych i chciwych korsarzy francuskich. Stopniowo zagarniali zachodnią część wyspy i od 1697 roku Francja stała się oficjalną władczynią zachodniej części Haiti na wiek z dokładką bezlitośnie wykorzystując murzyńskich niewolników przy pracach w produkcji coraz modniejszej w kręgach kulturalnych Europy kawy z cukrem (z trzciny cukrowej). Francuscy plantatorzy przez okrągłe 100 lat byli panami prawie połowy światowej produkcji kawy i cukru. Jednak hasło rewolucji francuskiej „wolność — równość — braterstwo” dotarło także do samych produkujących te dobra.

Niewolnicy zaczęli się buntować. A że mieli dobrego dowódcę, Toussainta L'Ouverture, wykształconego niewolnika-samouka, szło im całkiem nieźle. Początkowo wygrywali (teraz z kolei biali plantatorzy byli masowo zabijani), ale gdy do władzy doszedł Napoleon, jego wojska zepchnęły rebeliantów w głąb wyspy i to zmusiło L'Ouverture'a do szukania porozumienia z Francuzami. Oddał się w ich ręce w zamian za obietnicę zniesienia niewolnictwa. Napoleon słowo złamał, niewolnictwa ani myślał znosić, skuł przywódcę łańcuchami, odesłał do Europy, a tam już zadreńczono go na śmierć.

Inna sprawa, że nie bardzo się to Napoleonowi opłaciło. Rozwścieczeni rebelianci wybili 24 tysiące legionistów, których cesarz wysłał w celu stłumienia powstania. To właśnie wtedy z Haiti zetknęli się również Polacy, 3 półbrygady polskich żołnierzy z Legionów Polskich* przybyły na wyspę wraz z legionami Napoleona. Z około sześciu tysięcy polskich legionistów wróciło do Europy nieledwie kilkaset. Reszta zginęła w walkach, zmarła na choroby tropikalne, dołączyła do karaibskich piratów lub przeszła na stronę rebeliantów i osiadła na wyspie (Wikipedia podaje, że tych ostatnich było ok. 150: „do dziś w górskich wioskach Cazale, La Valée de Jackmel,

Fond des Blancs, Port Salut i St. Jean du Sud żyją ich ciemnoskórzy potomkowie noszący przekręcone polskie nazwiska i odznaczający się pewnymi europejskimi cechami wyglądu").

Wśród niewolników straty były też ogromne, ale że było ich więcej, w przeciwieństwie do legionistów byli odporni na rodzime choroby i byli bardziej zdeterminowani, zwyciężyli. W roku 1804 przywódca rebeliantów Jean-Jacques Dessalines, następca L'Ouverture'a, niestety bez jego biegłości w polityce, ogłosił niepodległość, (zgodnie z duchem czasów) masakrę pozostałych na wyspie plantatorów oraz powrót do pierwotnej, indiańskiej nazwy wyspy „Haiti”.

Odtąd część pofrancuska wyspy stała się niepodległym państwem o nazwie Haiti, pierwszym poniewolniczym państwem na całych Karaibach. Niestety, państwem bez polityków, struktur ekonomicznych, legislacyjnych i edukacyjnych, jakie by one nie były jak na tamte standardy. Państwo ex nihilo, bez własnej historii, na której mogłoby budować. A także bez przychylności białych kolonizatorów na pozostałych wyspach karaibskich, a nawet na drugiej, wschodniej części ich wyspy, gdzie biali nadal opierali swoją gospodarkę na pracy czarnych niewolników.

Podczas gdy czarni Haitańczycy borykali się nie bardzo wiedząc, co począć ze świeżo odzyskaną wolnością, Wielkie Koło Historii Białych za przyczyną walki Czarnych zmieniło kierunek, z czego niewielu tak naprawdę zdawało sobie sprawę, a już najmniej ci, których rękami to się stało: Napoleon zrezygnował z planu wbicia się klinem w Amerykę Północną (od Nowego Orleanu, który w 1800 roku wrócił pod panowanie Francji). Historyk John Chester Miller podsumowuje to tak: „Swą długą i zawziętą walką o niepodległość czarni z Saint-Domingue walczyli przyczynili się do tego, że Stany Zjednoczone mogły podwoić obszar swojego ówczesnego terytorium”.

Cały wiek XIX państwo Haiti nie zdołało się wewnętrznie zorganizować, konflikty społeczne destabilizowały gospodarkę, a to z kolei skrzętnie wykorzystał dawny kolonizator, Francja, by przy współudziale Stanów Zjednoczonych wymusić na Haiti astronomiczną sumę jako „rekompensatę” za uznanie niepodległości. Haracz pograżył młode państwo jeszcze bardziej. Na początku XX wieku USA wkroczyły do Haiti pod pretekstem zabezpieczenia spłaty zadłużenia przejmując kontrolę nad finansami i sprawując rządy w latach 1915-34 zgodnie z ogólnie akceptowanymi wówczas rasistowskimi praktykami, czyli brutalnie.

Robert Lansing, sekretarz stanu ówczesnego prezydenta USA Woodrowa Wilsona, tak podsumowywał politykę Haiti: „Doświadczenia /.../ Haiti pokazują, że rasa afrykańska pozbawiona jest jakichkolwiek zdolności do politycznego organizowania się i brak jej geniuszu rządzenia. Nie ulega wątpliwości, iż istnieje wrodzona tendencja do powrotu do barbarzyństwa i odrzucenia okowów cywilizacji, która jest sprzeczna z ich fizyczną naturą... Fakt ten czyni problem murzyński praktycznie nierozwiązalnym”.

Amerykańska okupacja Haiti polegająca na bezwzględnym przejmowaniu terenów przez korporacje — jeśli zachodziła taka konieczność przy użyciu broni, zginęło wtedy kilkadziesiąt tysięcy stawiających opór — zduśliła ostatecznie wolę zbudowania suwerennego państwa przez samych Haitańczyków. Na tym gruncie wylansował się najpierw pierwszy krwawy dyktator Haiti, François "Papa Doc" Duvalier, a po nim drugi, jego syn, Jean-Claude, zwany też "Baby-Doc". Rządy minidynastii Duvalierów (1957-1986) z jednej strony demoralizowały z drugiej terrorizowały Haitańczyków.

Niektórzy pamiętają może jeszcze ponury thriller polityczny Grahama Greene'a lub film wg tej powieści z Alekiem Guinnessem, Richardem Burtonem i Elizabeth Taylor pt. „Haiti, wyspa przeklęta”, nastrój upadku, beznadziei i strachu, nielegalny handel bronią, narastające bezprawie, odpływ co wartościowszych ludzi, pławienie się w przepychu i luksusie tych u władzy i postępująca bieda zwykłych obywateli. O tym, jak to „Papa Doc” przy pomocy tajnej policji Ton Ton Macoute (wspomagany przez Stany Zjednoczone) brutalizował społeczeństwo.

Lekarstwem na Duvalierów miał być nawiedzony ex-ksiądz Jean-Bertrand Aristide, ekskomunikowany przez Watykan katolicki duchowny, okrzyknięty przez biedotę Haiti mesjaszem (m.in. „zapisał się” w historii tym, że w 2003 roku, już jako ex-prezydent, podniósł kult voodoo do rangi religii państwowej). Mimo że wygrał w 1990 roku w demokratycznych wyborach, jego rządy nie przyniosły oczekiwanej poprawy, korupcja, nepotyzm i łamanie praw człowieka nadal były normą. Obalony w wyniku zamachu stanu skompromitowany Aristide po nieudanych próbach powrotu do władzy w końcu wybrał wygnanie w RPA.

Nie jest to najgorsze wyjście z sytuacji po nieudanej prezydenturze zważywszy, że każdy Haitańczyk najchętniej wybrałby emigrację. Sąsiednia, o wiele lepiej radząca sobie Dominikana chroni swoich granic zazdrośnie, a jeśli już przyjmuje robotników z Haiti, to po to tylko, by wykorzystać ich po siódme pokolenie. Opuścić wyspę dla zwykłego obywatela jest bardzo trudno. Niemniej ci lepiej wykształceni i bardziej przedsiębiorczy są dziś w USA (około miliona) i Kanadzie.

Fatalne historyczne uwarunkowania, rabunkowe rządy, nieumiejętna gospodarka, ograniczony dostęp do edukacji — 40% Haitańczyków jest analfabetami -oraz wyjątkowo niekorzystne położenie geograficzne — Haiti leży na linii huraganów i na styku płyt tektonicznych — to za dużo, jak na wyrwanych ze swoich rodzinnych krajów i kontekstów i wrzuconych do jednego tygla ludzi. Zapewne potrzeba jeszcze wielu pokoleń, żeby wygrzebać się z marazmu. Chyba że...?

Od momentu uzyskania niepodległości do czasów nam współczesnych Karty Historii obróciły się wielokrotnie. Świadomość świata dokonała znacznego postępu, dziś już nie mówimy, to niezaradni Murzyni, dziś analizujemy ich sytuację i widzimy, że sami bylibyśmy na ich miejscu równie bezradni. Oni nie wyemigrowali do Ameryki dobrowolnie, nie zabierali ze sobą swoich rodzin i nie przenosili na nowe życie swoich ugruntowanych kultur. Byli zwierzyną łowną, handlowano nimi na targach niewolników, rozłączano ich od rodzin, w trudnych do wyobrażenia warunkach przetrzucano przez Atlantyk (Steven Spielberg pokazał to nader realistycznie w filmie „Amistad”; 30% strat wliczane było w cenę „towaru”) by po drugiej stronie zaprząć do robót na plantacjach dopóki nie padli z wycieńczenia.

Historia ich niepodległości zaczęła się od wyniszczających walk, wymordowania mądrzejszych od nich białych osadników i ostracyzmu ze strony sąsiedzkich krajów. Wieloetniczny, wieloreligijny zlepek byłych niewolników, niewykształconych i niesamodzielnych, zastrachanych i zabobonnych, a zarazem obeznanych w najpotworniejszych okrucieństwach, rozpoczął swoje własne rządy od walk między sobą. Natychmiast też zrobił się podział na Murzynów i Mulatów, i walki na śmierć i życie na tym froncie. Razem nadal byli łatwym łupem dla sprytniejszych od siebie, Francuzi i Amerykanie skrzętnie to wykorzystywali.

Po nieudolnych rządach „mesjasza” Aristide’a UNO wysłało tam swoje wojska, by ustabilizować trudną do

opanowania sytuację. Udało się o tyle o ile. Przestępczość kwitła, więzienia puchły, kartele narkotykowe rosły w siłę, siły paramilitarne w bezkarność. Na to nakładały się katastrofy naturalne. Od początku III tysiąclecia było ich kilkanaście! Huragany, burze tropikalne, powódzie i teraz to trzęsienie ziemi...

Słyszymy, jak polscy ratownicy skarżą się, że Haitańczycy już zobojętnieli na nieszczęśników pod gruzami, że nie chcą pomagać, przechodzą obojętnie obok trupów na zrujnowanych ulicach, że zabijają się o wodę, żywność... A może bezmiar nieszczęść ich uodpornił? Może nie mieli kiedy i jak ugruntować w sobie empatii, zrozumienia dla innych? Może naga walka o przeżycie tak właśnie wygląda? To robi z człowieka? Bez względu na kolor skóry?

Od trzęsienia ziemi na Haiti mija właśnie tydzień, 168 godzin pod ruinami bez jedzenia i picia, w upale, zaduchu, pyłe, może ze złamaniami, ranami, przygniecionymi częściami ciała... to tak długo, że już tylko z rzadka pojedyncze osoby mogą przeżyć i doczekać się ratunku. Boję się myśleć o tym, ilu ludzi nie zginęło w chwili samego trzęsienia, a konało przez kilka dni pogrzebanych żywcem w ruinach. Nikt nie mówi o zwierzętach, ale one są dokładnie w takiej samej sytuacji, żyją a więc czują, boją się, cierpią i giną podobnie jak ludzie, i też może nie od razu, a po kilku dniach konania. Ich martwe ciała wydają identyczny trupi odór. Boję się myśleć, ale nie mogę nie myśleć...

Myślę jednak też i o tym, że paradoksalnie, to nieszczęście może być szansą dla Haiti. UNO dosyła swoje wojska do pomocy, USA przejęło stronę logistyczną, śle ludzi i pieniądze. Inne kraje świata także pomagają. Być może uda się właśnie teraz wyciągnąć Haitańczyków z biedy i nieszczęścia? Amerykański prezydent ma korzenie w Czarnej Afryce, co jest najlepszym dowodem na to, że czasy się zmieniają i wiemy już, że ilość pigmentu w skórze nie decyduje o kompetencjach człowieka, Obamie jakoś nie „brak geniuszu rządzenia”. USA chcą mieć kontrolę na Morzu Karaibskim, przyhamować przerzut narkotyków, obezwładnić narkotykowe mafie, a także, jak się domyślam, mieć baczenie na ruchy tektoniczne ziemi w tym miejscu, zamontować czujniki, mieć tu swoich naukowców.

Z drugiej strony obawiają się niekontrolowanej fali emigrantów z Haiti po katastrofie, wolą pomagać na miejscu. USA rywalizują z Brazylią i Wenezuelą o wpływy, Barack Obama z Luizem Inacio „Lulą” da Silva i Hugo Chávezem o zasługi. Prezydent Sarkozy, także świadom historycznego udziału Francji w łupieniu Haitańczyków, bo jakże by nie, robi starania o zwołanie światowej konferencji w sprawie Haiti. Nie przeżywamy żałoby tak osobiście, jak to było po tsunami w Azji, nie przerywamy programów telewizyjnych, nie mamy wydarzenia na pierwszych stronach pism, nie ma wydań specjalnych, choć bezmiar katastrofy jest porównywalny, ale mamy świadomość, że tu potrzebna jest pomoc od podstaw i na długi dystans. To rodzi nadzieję dla najsmutniejszego kraju Karaibów.

*

*Jeżeli ktoś ma dokładniejsze dane na ten temat, bardzo proszę o napisanie mi o tym, bo wiem, że chyba coś się nie zgadza, ale nie wiem co.

Krótką historia Haiti (którą powinien znać każdy, nie tylko Amerykanie)

<http://www.youtube.com/watch?v=YxUk2NSwcEs>